



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Stanisław Giszczak

Kręte wojenne szlaki

Kiedy wybuchła wojna miałem 11 lat. Zamieszkiwałem z rodziną w Sochocinie (pow. płoński) – ładnej, spokojnej miejscowości nad rzeką Wkrą. W czerwcu 1939 roku ukończyłem pięć oddziałów. Uczyłem się na ogół dobrze. Chętnie w wakacje przygotowywałem się do następnej klasy. Rodzina nasza składała się z sześciu osób, to jest matki, ojca i trojga mojego rodzeństwa. Pochodzę z rodziny rolniczej. Rodzice posiadali 4-hektarowe gospodarstwo. W Sochocinie i okolicznych wioskach społeczeństwo przeważnie utrzymywało się z rolnictwa i pracy najemnej. Pewna grupa zajmowała się wyrobem guzików z morskiej muszli. Oprócz Polaków w Sochocinie zamieszkiwali też Niemcy i spora liczba Żydów. Ich dzieci uczyły się razem z uczniami polskimi. Ja oprócz zajęć szkolnych należałem do drużyny ZHP i zaczynałem się już interesować sprawami wojskowymi i społecznymi. Bracia mojej mamy, których było pięciu, służyli w wojsku, a czterech z nich brało czynny udział w bitwie obronnej 1939 roku. Stąd od dziecka miałem kontakt z żołnierzami.

Wiedzę o wojsku pogłębiałem w swojej świadomości, kiedy w marcu 1939 roku do Sohocina i okolicznych wiosek przybyły liczne kompanie wojska z Baranowicz. Niemal w każdej zagrodzie kwatrowali żołnierze. Nazwiska niektórych oficerów pamiętam do dzisiaj. Obecność tak dużej liczby wojska w naszej osadzie i w najbliższej okolicy znacząco wpłynęła na zmianę krajobrazu, stosunki międzyludzkie, ekonomikę, dystrybucję i kulturę. Miejscowe społeczeństwo bardzo polubiło żołnierzy. Zielony mundur, który do tej pory widziany był tylko podczas uroczystych świąt, teraz spostrzegany był na każdym kroku. Nawiązywały się z wojskiem znajomości i przyjaźnie. Zadowolona była młodzież, a szczególnie mali chłopcy, którzy często jeszcze nieudolnie maszerowali za wojskiem udającym się w teren na ćwiczenia bojowe. Nierzadko smakowali grochówkę i twarde suchary. Żołnierze urządzali różne kulturalne imprezy, wykonywali na wolnych placach ciekawe emblematy dekoracyjne, w każdą niedzielę na rynku grała wojskowa orkiestra. Wyświetlane były interesujące filmy, które przez większość dzieci oglądane były na pewno po raz pierwszy. Pobyt wojska w naszej miejscowości trwał około czterech miesięcy.

Kiedy sytuacja polityczna zaczęła się bardziej komplikować, przybyłe do Baranowicz wojsko pod koniec czerwca 1939 roku zaczęło nas opuszczać. Okazało się, że zostanie przemieszczone za Mławę i Działdowo, bliżej pod granicę byłych Prus Wschodnich, celem umocnienia naszych rubieży na wypadek wojny. Obserwowałem z młodzieńczą ciekawością i żalem odchodzących żołnierzy. Nie ukrywam, że i dorośli, bardziej świadomi komplikującej się sytuacji politycznej ze smutkiem i refleksją żegnali się z zaprzyjaźnioną jednostką. Starsza młodzież nawet odprowadziła żołnierzy poza Sohocin. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się z przysłanej korespondencji, że „nasze” wojsko zostało rozlokowane za Działdowem w takich miejscowościach, jak Turza Wielka, Szeńkowo, Płońnica, Niestoja, Filica, Skurpia,

Burkat i inne. Przemarsz innych oddziałów przez naszą miejscowość w kierunku północnym trwał jeszcze przez kilkanaście dni. W drugiej połowie sierpnia sytuacja polityczna stawała się coraz bardziej napięta. W rodzinach pojawił się niepokój o bezpieczeństwo dzieci.

Miejscowa administracja zarządzała spotkania szkoleniowe. Uczono jak się chronić na wypadek wojny. Zalecano budowę schronów, wyjaśniano w jaki sposób stosować maski przeciwgazowe, doradzano, aby na szyby naklejać papierowe paski, zasłaniać wieczorami światła, nie zbierać znalezionych nieznanymi rzeczami. Radzono nie udzielać informacji nieznanym, przypadkowo spotkanym ludziom, którzy chodzą po wioskach i coś proponują do sprzedaży, o coś się wypytać.

Zarządzono powszechną mobilizację. Gospodynie od pewnego czasu robiły zapasy żywnościowe. Suszyły chleb na suchary, gromadziły suchy makaron, kaszę, nasiona strączkowe oraz zapasy mięsa i tłuszczu. Pamiętam, że ostatnie dni sierpnia dla wszystkich rodzin były bardzo nerwowe. Z różnych stron Polski, a szczególnie z Warszawy dochodziły niepokojące wiadomości o zagrożeniu ze strony zachodniego sąsiada. Wkrótce okazało się, że przewidywania polskiego rządu były słuszne, bo już 1 września 1939 roku o godz. 4.45 na Westerplatte padły pierwsze strzały z okrętu niemieckiego, który rzekomo przypłynął z kurtuazyjną wizytą do Polski.

Rozpoczęła się II wojna światowa. Dla mnie – wówczas jeszcze dziecka – było to wielkim wstrząsem i przeżyciem. Skończyła się dalsza nauka, a rozpoczęła tragedia. Na niebie zaczęły pojawiać się samoloty. Początkowo myślałem, że to nasi sojusznicy, z którymi mieliśmy zawarte układy w sprawie udzielenia pomocy na wypadek zagrożenia. Wypatrywałem ich na niebie z wielkim zainteresowaniem i niecierpliwością. Wkrótce jednak okazało się, że były to samoloty z czarnymi krzyżami, z których strzelano i zrzucano bomby na miasta. Dlatego też tą samą szosą, którą przed kilkunastu dniami przemierzały się na północ wojska polskie, tym razem – już od 2 września 1939 roku – w przeciwnym kierunku, czyli na południe sunęły wozy z uciekinierami.

Główna trasa prowadziła w kierunku Płońsk i Wyszogrodu za Wisłę. Ten przerażający widok i atmosfera paniki udzieliły się mieszkańcom Sochocina oraz okolicznych wiosek. Oprócz faktycznych nieszczęść jakie dotykały Polaków w pierwszych dniach wojny, sytuację podgrzewała propaganda niemiecka, aby wywołać w Polsce większy popłoch, zamieszanie i bałagan. Moja rodzina opuściła naszą posesję w niedzielę 3 września 1939 roku po południu, udając się konnym wozem wraz z innymi sąsiadami, zabierając ze sobą najpotrzebniejsze rzeczy, przez Płońsk, Nacpolsk, Wyszogrod za Wisłę. Już w Nacpolsku, gdzie zatrzymaliśmy się na krótki odpoczynek, w poniedziałek rano zaatakował nas niemiecki samolot, strzelając z karabinu maszynowego do ukrytych w ziemiankach uciekinierów. Kiedy odleciał, a ludzie zaczęli powracać do swych wozów okazało się, że zginął mieszkaniec Sochocina Wacław Kowalski. Kula ugodziła go w plecy z lewej strony. W dalszą drogę konnym wozem udała się żona z jedenastoletnim synkiem. Zabity został pochowany na polu majątku w Nacpolsku. Po tym tragicznym wydarzeniu tabor wozów wypełniony bagażami i uciekinierami w żałobnym nastroju udał się w kierunku Wyszogrodu. Po drodze kilkakrotnie byliśmy atakowani przez niemieckie samoloty. Pod miastem z różnych stron gromadziły się tłumy ludności cywilnej i wojska, które wycofywało się od Prus Wschodnich. Polscy żołnierze wykazali wielki patriotyzm broniąc granic swojej Ojczyzny. Straty w zabitych były duże po obu stronach. Sporo większe nawet po stronie niemieckiej. Dziś za Mławą w Uniszczach Zawadzkich stoi okazały pomnik poświęcony bohaterskim piechurkom.

Ucieczka przed nieprzyjacielem trwała dalej. Trudnością było pokonanie długiego, ponad kilometrowego mostu. Trzeba było się trzymać środka jezdni, bo pobocze było już zaminowane i tylko minuty dzieliły nas od momentu wysadzenia go w powietrze przez polskich żołnierzy. Tłumaczono wszystkim ludziom podjęcie takiej decyzji, że to ma duże znaczenie w powstrzymaniu wojsk niemieckich w marszu na Warszawę. Zdążyliśmy znaleźć się na drugim brzegu Wisły i most został zburzony. Pamiętam doskonale, że nasz tabor jechał w dalszą drogę przez takie miejscowości, jak: Sochaczew, Żyrardów, Mszczonów, Skierniewice i inne. W miastach były już widoczne ślady wojny, dokonane przez samoloty z czarnymi krzyżami. Na oknach widzieliśmy papierowe paski naklejone przez właścicieli mieszkań. Niebo stale było błękitne, z czego polskie wojsko i my cywile w tym czasie nie byliśmy zadowoleni. Natomiast ciepła pogoda stała się naszym sprzymierzeńcem, bo mogliśmy spać prawie pod gołym niebem. Groźne były tylko ciągle wybuchy bomb i kanonady eksplozji pocisków artyleryjskich oraz morderczy. Przez cały czas narastał w nas strach wobec perspektywy spotkania się z nacierającym wrogiem.

Z każdym dniem malała nadzieja na odparcie wroga. Natomiast zupełne załamanie wśród uciekinierów nastąpiło 17 września 1939 roku, kiedy dowiedzieliśmy się, że do Polski od wschodu wkroczyły wojska sowieckie. Majątek, w którym przebywaliśmy był otoczony murem parkanem, murem była stodoła i budynki gospodarcze. Miało to dla nas duże znaczenie, bo w niewielkiej odległości toczyły się ciężkie boje z hitlerowcami. Pałacyk był drewniany, nieco podniesiony, kryty gontem. Otoczony był pięknymi, dużymi świerkami i sosnami. Teren był raczej górzysty, podwórko przestrzenne. Za budynkami rozciągał się piękny, rozległy ogród i młody sad. Właściciele, jak również ogrodnik, byli raczej pozytywnie do nas nastawieni. Kazali kopać ziemniaki, sprzedali mąkę na chleb, zezwolili korzystać z ogródka warzywnego. Ziemniaki były drobne, bo gleba piaszczysta, ale smaczne.

Miejsce w majątku było na ogół bezpieczne, chociaż przez dzień i noc dochodziły do nas odgłosy ciężkich pocisków artyleryjskich i karabinów maszynowych. Jak się później okazało w pobliżu, nad Bzurą, rozegrała się największa bitwa kampanii wrześniowej. Tam, mocno przerażony, zobaczyłem po raz pierwszy żołnierzy niemieckich, którzy też nieufni do nas, w pełni uzbrojeni, z pistoletami w rękach, na koniach wjechali na podwórko. Dokonali szczegółowej kontroli przebywających w majątku osób i sprawdzili wszystkie miejsca. Szczególnie dopytywali się czy wśród obecnych nie ma przebranych wojskowych. Po pewnym czasie oznajmili, że opanowali ten teren i należy przestrzegać ich zarządzeń. Było to już około 20 września. Warszawa i Modlin jeszcze się broniły. Po kilku dniach pojawiło się w majątku więcej niemieckich żołnierzy, których właścicielka częstowała ciepłą, słodką herbatą.

Kiedy poddała się Warszawa i skapitulowała Twierdza Modlin, zdecydowaliśmy się powrócić w swoje strony. W dalszym ciągu nie opuszczał nas jednak niepokój. Nie byliśmy pewni jak przyjmie nas nowa niemiecka administracja, która już od miesiąca zarządzała na naszym terenie. Droga powrotna do domu może była już bardziej spokojna, ale nie mniej przykra i trudna. Mijaliśmy miejsca, gdzie przed kilkoma dniami w dorzeczu Bzury toczyły się wielkie boje. Na polu walki leżały jeszcze w uprzęży zabite, popuchnięte konie, rozbite wozy, działa i różny sprzęt wojskowy. Utkwił mi na zawsze w pamięci obraz z okolic Sochaczewa, a było to na szczerym polu, gdzie spotkałem świeże cztery groby, w których zostali pochowani żołnierze polscy. Mogiły usypane były w kształcie prostokątów, na wysokość około 20-30 cm. Ziemia gładko uklepana, a na wierzchu pomysłowo i artystycznie wykonane liczby, które informowały o liczbie spoczywających w nich bohaterów. Napisy – 84, 67, 32, 24 – wykonane były kulkami karabinu maszynowego, czubkami wciśniętymi do ziemi. Spotykałem też mogiły niemieckie. Wojna czyni ofiary nie tylko po jednej stronie. Powoduje straty dla wszystkich narodów, które zostały objęte tym kataklizmem.

Ze szczegółów drogi powrotnej z wojennej „ucieczki” do domu pamiętam też przeprawę przez Wisłę. Jak już wspomniałem w pierwszych dniach września zburzony został most w Wyszogrodzie, a trzeba było przedostać się na drugi brzeg szerokiej i głębokiej rzeki. Poinformowani odpowiednio przez tutejszych mieszkańców zmieniliśmy nieco trasę udając się przez zachodnią część Puszczy Kampinoskiej w kierunku Czerwińska. Przeprawa przez Wisłę była trudna. W tym miejscu lewy brzeg pradoliny rzeki jest łagodny, natomiast prawy od strony Czerwińska w kierunku Płocka i dalej jest stromy i wysoki. W tym czasie kursowały w obie strony duże łodzie zwane „batami”, którymi przewożono ludzi i bagaże. Dzięki temu mogliśmy się przeprawić na drugi brzeg rzeki. Wymagało to jednak sporego wysiłku. Wozy konne należało rozebrać na części, żeby łatwiej można było je ułożyć na łodziach. Trzeba było wprowadzić inwentarz, ulokować pewną grupę ludzi, a konie, które nie dały się umieścić w środku, trzymane były przez właścicieli na powrozach i forsowały przeszkodę wplaw. Po dotarciu na przeciwny brzeg wozy ponownie zostały złożone i przygotowane do dalszej drogi. W tej pracy miałem i ja swój poważny udział. Po tych niełatwych czynnościach i po nakarmieniu koni udaliśmy się przez Czerwińsk, Garwolewo, Raszewo, Włociańskie, Kobylniki, Nacpolsk, Płońsk do Sochocina. W naszym domu znaleźliśmy się dopiero 2 października.

Obawy co do powrotu w swoje strony i spotkanie się z nową administracją okazały się uzasadnione. Przy pierwszym kontakcie z komisarzem oraz innymi funkcjonariuszami, rodzice musieli umiejętnie się tłumaczyć z tak długiej nieobecności we własnym mieszkaniu. Już na drugi dzień rozpoczęły się spóźnione prace w polu. Na szczęście w tym miesiącu jeszcze przez kilkanaście dni była ładna pogoda. Najpierw przystąpiliśmy do kopania ziemniaków i przygotowania gleby pod zimowe zasiewy. Zbiór kartofli był wówczas poważnym problemem, bo odbywało się to ręcznie. W pracach tych jako młody chłopiec uczestniczyłem dosyć aktywnie, chcąc pomóc zmęczonym rodzicom i nadrobić poważne opóźnienie. Siew zboża wykonaliśmy pod koniec października. Kolejnym problemem, którym należało się zająć, była sprawa opału i skromnych zapasów żywności na zimę.

Po kapitulacji polskiej armii rozpoczęła się okupacja. Nasze tereny zostały włączone do III Rzeszy. Ustawy dla Polaków i Żydów były bardziej uciążliwe, panował terror. Zlikwidowano polskie szkoły, a dzieci musiały pracować w gospodarstwach u niemieckich rolników, zbierać na polach kamienie. Organizowano aresztowania wywożąc do obozów koncentracyjnych i obozów pracy lub na przymusowe roboty do Niemiec. W naszych okolicach powstały karne obozy pracy w Kucharach, Smardzewie, Dalanówku, Gralewie. W październiku 1940 roku został aresztowany mój ojciec. Trafił do karnego obozu w Gralewie. Przez kilka tygodni pracował przy budowie drogi.

W nocy z 5 na 6 marca 1941 roku w Sochocinie hitlerowcy zorganizowali wielką akcję wysiedleńczą. Z hałasem wpadali do mieszkań żandarmi z volksdeutschami rozkazując opuścić je w ciągu 10 minut. Eskorta odprowadzała wszystkich na plac przy kościele. W kilka godzin zgromadzono tam całą ludność żydowską (około 700 osób) i prawie 2000 Polaków. Wszystkimi ulicami ciągnęły tłumy wypędzonych. Płakały matki i rozbudzone ze snu dzieci. Staruszkowie z tobołkami szli przeważnie na końcu. Kto nie mógł poruszać się o własnych siłach, wleczoney był do miejsca przeznaczenia przez młodych mężczyzn. Do rana plac przy kościele był wypełniony do ostatniego miejsca. Dzień był wówczas mglisty i zimny. Padał śnieg. Około godziny 8 rano zajęły przed bramę kościoła wielkie ciężarowe samochody, na które w szybkim tempie, przy krzyku hitlerowców, zostali załadowani wszyscy zgromadzeni ludzie. Ostatnie

transporty aresztowanych opuściły Sochocin około godziny 10. Bardzo stłoczeni, w otoczeniu żandarmów dojechaliśmy do Pomiechówka. Tam nastąpił rozładunek i ulokowanie aresztowanych w trzecim forcie. Warunki życia w obozie były bardzo ciężkie. Przebywanie w wilgotnych podziemiach fortów sprzyjało szerzeniu się chorób, a szczególnie wśród dzieci i osób starszych.

Następny etap martyrologii mieszkańców Sochocina to karny obóz w Działdowie, do którego zostaliśmy przewiezieni po siedmiu dniach pobytu w Pomiechówku. W dniu transportu była mroźna i śnieżna pogoda. W drodze do Działdowa kilka osób zmarło. Na miejsce dotarliśmy w godzinach wieczornych. Pierwszą noc spędziliśmy w drewnianych, zimnych barakach. Szparami przedostawał się śnieg. Rano odbyła się ścisła kontrola celna – rewizja „dobrowolna”, oddawanie złotej biżuterii, rejestracja, wręczanie numerów wykonanych na sztywnych materiałach i przydział cel. Były tam bardzo ciężkie warunki. Odbiło się to niekorzystnie na zdrowiu i rozwoju dzieci oraz młodzieży. Wielu ludzi nie przeżyło pobytu w tym obozie.

W 52 rocznicę wysiedlenia mieszkańców Sochocina na miejscowym cmentarzu przy kościele odsłonięty został pomnik ku czci Polaków zmarłych i pomordowanych w obozach karnych w Pomiechówku i Działdowie. Podobne pomniki stanęły w Kucharach, Smardzewie, Dalanówku i Gralewie.